

T. 605.459/5

ZAJMUJĄCE CZYTANKI PRZYRODNICZE

Nr. 5

ERNEST SETON THOMPSON



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

RECEIVED JAN 24 1937
M. J. W. 24. V

4300
23 84

3

ZAJMUJĄCE CZYTANKI PRZYRODNICZE — Nr. 5

ERNEST SETON THOMPSON

KOTKA
ŚMIECIARKA

PRZETŁUMACZYŁA

MARJA ARCT-GOLCZEWSKA

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



I. 605. 459/5

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

„Wątroba! śledziona!“—rozległo się nagle rankiem na jednej z ulic New-Jorku w Ameryce.

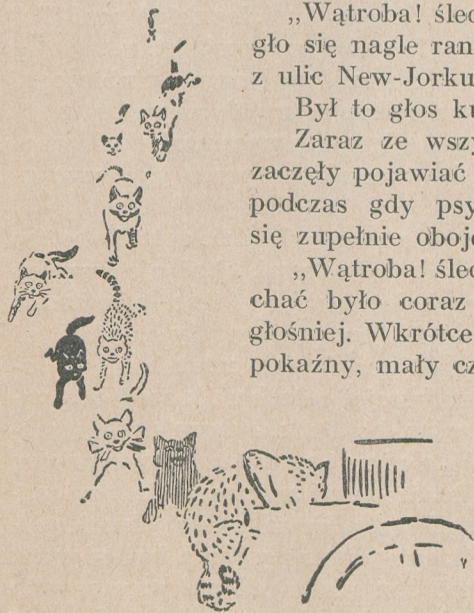
Był to głos kulawego Piotra.

Zaraz ze wszystkich domów zaczęły pojawiać się różne koty, podczas gdy psy zachowywały się zupełnie obojętnie.

„Wątroba! śledziona!“ — słychać było coraz bliżej i coraz głośniej. Wkrótce ukazał się niepokazny, mały człowieczek, ciągnący wózek,

a za nim szło parę tuzinów kotów, które za każdym wołaniem człowieka wydawały radosne

dźwięki. Wreszcie, gdy zgromadziła się wielka ich ilość, wózek przystanął. Człowiek wyjął z wózka długi kij jakby rożen, na którym wisiąły ka-



wałki gotowanej wątroby, silnie pachnącej; zdejmował ją z kija po kawałku i rzucał między koty. Każdy kot wziął swój kawałek i czem prędzej uciekał w jakiś zakątek, gdzieby mógł bezpiecznie spożyć swą zdobycz.

„Wątroba, śledziona!“ — rozległo się znowu i nowa gromada kotów zbiegała się. Wszystkie były dobrze znane kulawemu Piotrowi: to był „tygrys“ pana Walentego, a to „czarny“ Jana sklepiarza, ten „burek“ krawca Palickiego, ten „łaciasty“ pani Tomaszowej, a „biały“ pani szewcowej i t. p.

Podczas gdy Piotr rozdawał swym ulubieńcom smaczne kąski, na wózek wdrapał się znany rudy nicpoń, którego pan nigdy nie poczuwał się do obowiązku zapłacenia za zjedzone przez jego wychowanka śniadanie.

O, bo prawie wszyscy właściciele tych kotów uiszczali się sumiennie Piotrowi, choć nie wszyscy płacili jednakowo. Zależnie więc od tego, koty dostawały różne kąski. Tak np. pan tygrys a płacił aż czterdzieści groszy tygodniowo, to też kot ten dostawał największe porcje; zato burekowi przypadał mały kawałek, bo Palicki dawał tylko dwadzieścia groszy. Łaciasty zyskiwał sobie oprócz zwykłej porcji jeszcze jakiś przysmaczek, gdyż pani Tomaszowa obdarzała Piotra często jakimś nadzwyczajnym datkiem; czarny Jana był również honorowany, choć Jan nie płacił ani grosza, a to dlatego, że Piotr był wielkim przyjacielem Jana.

Wraz z innemi przybiegła także czarna kotka z białym noskiem, ale gdy ją Piotr spostrzegł, odpuścił niemiłosiernie od wózka.

Czarnucha zdumiała. Cóż to się stać mogło? Przecież od pół roku otrzymywała codziennie swój kasek, czyżby jej nie poznał kulawy Piotr? O nie, wiedział on dobrze, co robi! Przecież od paru tygodni nie płaciła za nią pani piekarsowa. Wprawdzie Piotr nie prowadził ksiąg rachunkowych, ale zapisywał sobie wszystko w swej głowie, która go nigdy jeszcze nie omyliła.

Trudno byłoby opisać każdego z tych kotów, bo w przeciągu dnia przewinęło się ich ze czterysta koło wózka, a cóż dopiero powiedzieć o tych, które, nie zapisane na liście Piotra, stały zdala, zwabione miłym zapachem i czekały miłosiernego kaska.

Wśród tej gromady zwracała uwagę przede wszystkim mała, wysmukła szara kotka, która zapewne nie miała żadnego opiekuna, bo po zapadłych jej bokach było widać, że żyła własnym przemyśleniem i że głód był jej częstym towarzyszem. Po jej zaś niezbyt czystym futerku można było przypuszczać, że zaglądała nieraz do śmietników.

Wyszła ze swego ukrycia wolniutko i nieśmiało, stanęła wśród swych eleganckich towarzyszków i oglądając się co chwila za psami, zerknęła poządlawie na wóz z wątroba. Przypatrywała się z uwagą każdemu szczęśliwcowi, który z rozognionemi oczami odchodził od wózka ze smacznym kaskiem w pyszczku — ale nic na tem nie zyskała. Aż wreszcie stał się niespodziewany wypadek. Oto na jednego szczęśliwego zdobywcę napadł czarny wielki kot. Napadnięty tak się przeraził, że uciekając upuścił kasek. Widząc to, kotka chwyciła zdobycz, zanim czarny kocur zdołał ją porwać.

Uszczęśliwiona, usunęła się w bezpieczną kryjówkę, poczem przez otwór w bramie najbliższego domu prześliznęła się na podwórze, otoczone murem, i tutaj, skrywszy się w najciemniejszy kącik, spożyła zdobyty kawał wątroby i oblizła starannie brodę z miną zupełnego zadowolenia i szczęścia. Potem udała się w podskokach na drugą stronę podwórza, gdzie na dnie starej skrzyni pozostawiła troje maleńkich kociąt. Już zdążyła doszła jej uszu żalosne miauczenie. Z szaloną szybkością dopadła skrzyni — i tu osłupiała z przerażenia. W gnieździe jej gospodarował olbrzymi czarny kocur i zupełnie spokojnie pożerał już drugie kocię, tak jakby to była mysz. Kocur był dwa razy większy od małej matki, jednakże ta w okamgnieniu rzuciła się z rozpaczą na niego. Napastnik uciekł, ile mu sił starczyło, a biedna kotka położyła się obok pozostałego jedynaka i zaczęła go starannie oblizywać.

Było to maleństwo jeszcze ślepe, bardzo podobne do matki, tylko nieco żywiej ubarwione — szare, w czarne kropki, z białą cętką na nosie, uszach i końcu ogona.

Po tym strasznym wypadku kotka przez parę dni nie opuszczała swego dzieciaka i otaczała go wielką pieczołowitością, a uczucia, rozdzielone dotychczas na troje, przeszły wyłącznie na pozostałego jedynaka. Już nie wybiegała na ulicę, bo coprawda, to nie miała nigdy wielkiego szczęścia u kulałego Piotra, lecz głód zaspokajała w nieopodal stojących śmietnikach i wystawianych przez kucharki naczyniach z pomyjami. Znajdowała tam często kawałki zepsutego mięsa, a jeśli tego nie

było, to w każdym razie nie brakło resztek innych potraw, a wreszcie obierzyn z ziemniaków.

Tak minęło kilka dni. Małe kociątko zaczęło już wesoło skakać w skrzyni, a matka musiała się dobrze nabiegać za pożywieniem, żeby starczyło mleka dla żarłoka.

Pewnego wieczora, kręcąc się poza murem domu, za którym rozciągało się piękne morze, kotka poczuła jakiś miły zapach, dochodzący z pobliskiego portu. Każdy nowy zapach powinien być zbadywany, myślała, a jeśli ten nie był nowy, to w każdym razie nęcący, to też nasza kotka udała się za nim wprost do portu. Szła zupełnie otwartą drogą, a przed jej nieprzyjaciółmi — psami, ochraniała ją tylko ciemność nocy. Już była bliźutko miejsca, skąd dochodził zapach, gdy wtem zaniepokoił ją szmer i ciężki oddech, jakby doganiający ją; — obróciła się i ujrzała swego starego nieprzyjaciela — wielkiego psa portowego. Była tuż na brzegu morza, naprzeciw łodzi rybackiej, skąd właśnie dochodził zapach. Niewiele myśląc, dała susa i w jednej chwili znalazła się na łodzi. Tutaj pies nie mógł jej doścignąć. Skryła się w kącik pod ławkę, a gdy nazajutrz łódź rybacka odbiła od brzegu, popłynęła na niej nasza kotka jako niedostrzeżony pasażer. Tym sposobem znikła na zawsze ze swego rodzinnego miejsca.

II.

Napróżno kociątko oczekiwało noc i dzień powrotu matki. Głód dokuczał, a maleństwo nie wiedziało, co z sobą zrobić.

Głód jest dobrym nauczycielem, a więc i małą sierotkę nauczył, jak ma sobie dawać radę, by żyć a nie zginąć.

Przedewszystkiem wydrapała się na brzeg skrzyni, spojrzała w świat i noskiem poruszając, wachała. Potem ostrożnie wskoczyła na sąsiednią skrzynię ze śmieciami i szukała. Nie jednak nie mogła znaleźć dobrego. Szła więc dalej, wszystko po drodze wachając. Wreszcie kociątko dostało się na drewniane schody, które prowadziły do sklepu ptasznika Jap Male. Drzwi od sklepu były nieco uchylone — kociątko weszło i stanęło zdumione w nowym nieznanym mu świecie, złożonym z mnóstwa istotek, poruszających się żywo w klatkach i wydających różne piskliwe głosiki.

W rogu sklepu, na skrzyni siedział murzyn służący właściciela sklepu. Ujrawszy małego przybysza, uśmiechnął się i śledził go ciekawie wzrokiem. Kociątko przeszło koło klatki z królikami, potem przystanęło przy klatce z lisem i poczuwszy jakiś nęcący zapach, włożyło nosk między kratę. Tuż przy kracie znajdowała się miska z jedzeniem — tam skierowały się oczy kotka. Aż tu nagle lis poruszył się i z otwartą paszczą szedł wprost na niespodzianego gościa.

— Miau, miau! — rozległo się przeraźliwie —

i już, już byłoby kociątko zginęło w zębach lisa, gdyby nie murzyn, który w okamgnieniu stanął przy klatce i garścią piasku tak ugodził w oczy nastpnika, że ten natychmiast puścił kociątko i skrył się w kącie klatki, skąd patrzył na nieudaną zdobycz oczami pełnymi złości i strachu.

Tymczasem murzyn wyciągnął przerażone kociątko z klatki. Biedactwo było trochę poturbowane, tak, że nie mogło utrzymać się na nogach, wziął je więc na ręce i siadłszy na skrzyni, głaskał i chuchał, aż przyszło do siebie i szczęśliwe zaczęło mruzczeć na kolanach swego nowego opiekuna.

Nadszedł właśnie sam pan Jap Male. Był to wysoki mężczyzna o wąskich oczach, które nadały mu wygląd Japończyka i stąd dano mu przydomek „Jap“, choć właściwie był Anglikiem. Głównym jego zatrudnieniem był handel ptakami i zwierzętami ssąciami, a główną jego myślą — zyskanie jak najwięcej pieniędzy. Gdy więc teraz, wszedłszy do sklepu, zobaczył zgłodniałego kotka na kolanach murzyna, nie zrobił zbyt przyjaznej miny, bo naturalnie zląkł się przedewszystkiem o swe ptaszki.

Murzyn sam dał zbłąkanemu i poturbowanemu kocięciu mleka i nakarmił je dosyła; nie chcąc jednak narazić się swemu panu, wyniósł po paru dniach, gdy tylko chodzić mogło, do innego domu i tam puścił na wielkie podwórze, gdzie oprócz dużego śmietnika ze starem żelastwem, nic innego nie było. Na pożegnanie rzucił opuszczonemu kocięciu kilka kawałków mięsa i odszedł.

III.

Dobre pożywienie przez parę dni u murzyna zmieniło bardzo naszego małego kotka. Nabrał siły i z nią razem, rozumu. Pozostawiony sam na wielkiem podwórzu, rozejrzał się ciekawie wokoło;— skrzynie ze starem żelastwem nie wzbudzały w nim zaufania, spozjrzał więc w górę i spostrzegł w oknach klatki z kanarkami — siadł tam i patrzył na nie pożądlivym wzrokiem. Wtem nadszedł pies. Kociak przełęczniony dał wielkiego susa i pod jedną ze skrzyń znalazł sobie bezpieczne schronienie. Słońce grzało tu dobrze, kociak zmrzył więc oczy i — zwinięty w kłębek, przespał tak z dobrą godzinę.

Ciepły, cichy oddech nad głową obudził małego wygnańca. Otworzył ślepki i ujrzał stojącego nad sobą wielkiego czarnego kota o błyszczących zielonych oczach. Po kwadratowej brodzie i silnym karku można było poznać, że był to kocur. Lewe ucho miał rozszarpane, a obok oczu szeroką bliznę; były to widać ślady jakiejś walki.



Kotek nasz patrzył na swego wielkiego napastnika zdziwiony, ten zaś spoglądał na małą ofiarę całym przyjaźniem, cofnął nawet trochę uszy ku tyłowi, machał ogonem i mrucał wcale niezłośliwie. Kociątko postąpiło ku kocurowi z niewinną minką, a ten, obtarłszy sobie brodę o jedną z łapek, odwrócił się powoli i znikł. Kociątko patrzyło za nim

zdziwione i nawet nie miało pojęcia, że uszło już po raz drugi śmierci, gotowanej mu przez czarnego kocura; uratowało się tylko dlatego, że było kotką, a dla kotek czarny rozbójnik zawsze czuł pewne uszanowanie i delikatność.

Zbliżał się wieczór — nasza opuszczona kotka poczuła głód. Wystawiła więc nosek pod wiatr i wdychała w siebie ożywczy prąd powietrza. Szła potem w kierunku, jaki jej wskazał nosek i doszła tak na drugi koniec podwórza, gdzie znajdowało się śmietnisko z resztkami rozmaitych jarzyn. Wśród nich znalazła dla siebie trochę pożywienia, potem napiła się wody z wiadra, stojącego pod rynną, i poszła zwiedzać podwórze z drugiej strony.

Całą noc poświęciła na zaznajomienie się z nową siedzibą i wkrótce była jak u siebie. Drugi dzień spędziła podobnie, wypawszy się doskonale na słońcu w swoim bezpiecznym kąciuku. Tak przechodziły dni i noce bez wielkich wrażeń. Raz pojawił się nawet czarny kot, cofnął się jednak dyskretnie, zanim go zauważyła.

Wiadro z wodą stało zwykle na swem miejscu, ale śmietnisko niezawsze było tak gościnne; czasem biedna kotka nie w niem znaleźć nie mogła, a zdarzało się, że przez trzy dni pozbawiona była zupełnie jedzenia. Poszła więc dalej wzdłuż płota, zobaczyła jakąś szparę, którą się prześliznęła i znalazła się na dużej otwartej ulicy. Był to dla niej zupełnie nowy świat, ale zanim się w nim rozejrzeć mogła, jakiś wielki pies skoczył na nią, tak że ledwie zdążyła powrócić przez tę samą szparę na swe podwórko. Była tak wyczerpana i głodna,

że ledwie dowlokła się do śmietniska; wyciągnęła kilka obierzyn z ziemniaków, które zaspokoily choć trochę jej głód. Nad ranem znowu wlokła się głodna po podwórzu, a oczy jej padły na dwa wróbelki, przechadzające się po śmietniku. Nieraz widziała je nasza Mizia i uważała je za swych towarzyszków, ale dzisiaj wzbudziły się w niej uczucia zupełnie nowe i dotychczas jej nieznane. Te wróbelki mogłyby stać się jej śniadaniem! Skryła się więc, by niepostrzeżenie je napaść — ale wróbelki równie prędko zmiarkowały zamiary kotki i szybko pofrunęły na dach.



Nie raz, ani dwa, ale kilkanaście razy próbowała nasza wygnanka szczęścia, zawsze napróżno, jedyny rezultat był ten, że odtąd Mizia uważała wróbelki — swych dawnych towarzyszków — za bardzo pożądane przedmioty jadalne.

Piątego dnia po przygodzie na ulicy kotka znowu próbowała prześliznąć się przez szparę w płocie, by tam poszukać jakiegoś pożywienia. Narazie nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo, aż tu naraz dwaj swawolni chłopcy zaczęli ciskać kamieniami na nieznanomego im jeszcze przybysza. Prze-

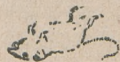
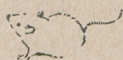
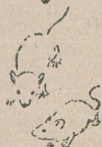
rażona Mizia uciekła, ale tu znowu pies stanął jej na drodze i ujadął przeraźliwie — skoczyła biedna w bok i trafiła szczęśliwie na jakiś żelazny parkan, przez którego kraty prześliznęła się do ogródka. Słyszac ujadanie psa, pani wyrzała z okna i zawołała na niego, żeby ucichł. Po chwili dzieci tej pani rzuciły kotce parę kawałków mięsa, które w okamgnieniu porwała i skryła się z nimi pod schodami. Tutaj doczekała się nocy i pod jej osłoną powróciła na swe podwórko.

Na takiej ciągłej walce o chleb powszedni zeszyły dwa miesiące. Mizia urosła, nabrała siły, a razem i znajomości świata. Poznała już doskonale całą ulicę, i była nadzwyczaj zdumiona obfitością wiader z resztkami-kuchennemi, które wzdłuż ulicy wystawiano co rano. Nabrała nawet pewnego wyobrażenia o mieszkańcach ulicy. Wiedziała, że w wielkim domu sąsiednim znajdował się skład ryb i konserwów i stąd wyrzucane puszki na podwórze zawierały nieraz dobre przysmaki.

Wkrótce zabrała znajomość z kulawym Piotrem i jego wózkiem, a chociaż nie zdobyła jego łaski, jednak nieraz dostał się jej niespodziewanie jaki kąsek. Zajęta cały dzień swą osobą, nabrała w poszukiwaniu pożywienia takiej zręczności i pomysłowości, że codziennie odnajdowała coś nowego. Najważniejsze jednak było odkrycie mleka. Zauważyła bowiem, że codziennie mleczarz przywozi mleko wozem i stając przed każdym domem, stawia blaszanki lub flaszki na ławeczkach okien lub pode drzwiami kuchennemi. Naczynia te zawsze nęciły koty, ale dobrać się do nich nie mogły, gdyż były szczelnie



zamknięte. Mizia nasza jednak póty szukała, aż natrafiła na dzbanek ze zbitą pokrywką, tak że swobodnie mogła upić trochę mleka. Ach! jakież to było pyszne śniadanie!



Idąc tak coraz dalej, znalazła się pewnego dnia na swem dawnem podwórzu, przy sklepie z ptakami. Poznała odrazu swe rodzinne miejsce i tu postanowiła pozostać, bo to wielkie podwórze z żelastwem niebardzo się jej podobało. Na samym wstępie jednak spotkała drugiego kotka, który wzbudził w niej pewne obawy, tak że stanęła gotowa do walki. Już, już miała się rzucić na przeciwnika, gdy wiadro zimnej wody, wylane na nią przez kogoś z okna, otrzeźwiło ją w okamgnieniu. Skoczyła w stronę śmietniska, gdzie skryła się w pustą skrzynię, tę samą, w której ujrzała niegdyś światło dzienne, gdzie jej było tak dobrze, przytulonej do piersi matki.

Gdy ochłonęła z przest్రachu, zaczęła rozglądać się wokoło. Wszystko tu było jej znane, a wkrótce poznała jeszcze coś więcej — mianowicie myszy i szczury, które gospodarowały po nocach, a które teraz ratowały ją od głodu.

W ten sposób obecnie nie tylko miała zapewniony byt, ale nawet zdobyła sobie wkrótce przyjaciela, którego zaraz poznamy.

IV.

Mizia wyrosła na piękną kotkę o tygrysim wyglądzie. Była szara w czarne cętki, rozrzucone regularnie po całym ciele, a cztery białe plamki na uszach, nosku i końcu ogona, były prawdziwą jej ozdobą i nadawały jej wygląd szlachetny.

Nabrała już dużo doświadczenia życiowego i umiała doskonale zdobywać sobie pożywienie. Jednakże i teraz bywały dni głodu, nieraz też nasza Mizia próbowała polowania na wróble, lecz zawsze bez dobrego skutku. Naogół dni płynęły jej dość szczęśliwie, ale bardzo samotnie. Wkrótce jednak zaszło coś ciekawego i nieznanego w jej życiu.

Oto pewnego dnia sierpniowego wygrzewała się Mizia na słońcu, gdy naraz pojawił się na murze wielki czarny kot. Po rozerwanem uchu poznała odrazu swego dawnego znajomego i przelękniona schowała się do skrzyni. Kocur jednak przeszedł spokojnie dalej i skoczył na dach; wtem z przeciwnej strony ukazał się na dachu drugi żółty kot, również wielki jak pierwszy, i podążył wprost na czarnego. Czarny kocur przystanął, najeżył się i zamiau-czał przeraźliwie. Żółty zrobił to samo, poruszając złowrogo ogonem.

— Miau! miau-u-u! — krzyczał czarny.

— Wauu! wau-u! — odpowiadał żółty.

Pobudka do walki była wydana i obydwie koty z ułożonemi wtył uszami, z wygiętym ku górze grzbietem posunęły się ku sobie.

— Miau! miau! — wrzeszczał znowu czarny i przysunął się o pół cala bliżej.

— Wauu, wauu! — odezwał się żółty i podnosząc się na całą swą wysokość, zbliżył się o cały cal.

— Wauu! wauu! — powtarzał i wymachiwał ogonem na prawo i lewo.

— Miau, miau-u-u! — ryczał czarny i spostrzegłszy tuż przed sobą szeroką pierś żółtego, cofnął się nieco wtył.

Na podwórzu pootwierały się okna i rozległy się ludzkie głosy, nawołujące do ciszy, ale krzyki kotów były jeszcze głośniejsze.

— Wauu! wauu! — grzmiał żółty napastnik, jakby chciał powiedzieć: — „z drogi mi, z drogi!”

— Miau-u-uu! — odpowiadał czarny, podsuwając się znowu ku tamtemu.

Już tylko trzy cale dzieliły nosy przeciwników, a przednie ich łapy z wystawionemi pazurami zbliżały się ku sobie coraz bardziej. Trzy minuty stały koty naprzeciw siebie bez ruchu, z oczami błyszczącemi, jak węgle rozżarzone, a końce ich ogonów poruszały się bez przerwy we wszystkie strony.

I znowu zaczął żółty swoje grożące:

— Wauu, wauu, u-u-u!

— Jee-e-e-eh! — zaryczał czarny, chcąc przerazić przeciwnika i cofnął się znowu troszeczkę.

Żółty natomiast przysunął się bliżej — już dotykały się ich wąsy, a nosom brakowało tylko parę cali.

— Wau-uu! — wyrwało się jak głębokie westchnienie z piersi żółtego. — Jee-eh! — zawył czarny — i w tejże chwili żółty rzucił się jak furja na czarnego, wpijając w niego szpony swe i zęby.



- Miauu! — krzyczał czarny.
— Wauu, wauu! — odpowiadał żółty.



— Wii-wii-wii!...—zawył tamten, schwycił go łapami i w mocnym uścisku przewalił na ziemię.

O, jakże się te koty tulały i gryzły, przedewszystkiem żółty! O jakże się przewracały i drapały!

Głową na dół, głową na górze, to jeden, to drugi, przeważnie jednak żółty, staczały się walczące kocury po spadzistym dachu, aż wkońcu spadły wprost na ziemię. Ze wszystkich okien rozległy się teraz głośne okrzyki: „hurra! O, górą żółty!”

W okamgnieniu jednak podniosły się obydwie koty na nogi i, trzymając się wzajemnie mocno pazurami, toczyły się dalej po kamienistym podwórzu, parskając i miauczając przeraźliwie; wreszcie miały już obydwie dosyć walki i puściły się, każdy odskakując w swoją stronę, obydwie poszarpane i pokrwawione, zwłaszcza czarny.

Dowlóknął się biedak do muru i miauczając żałośnie z bólu i złości, wdrapał się na szczyt i znikł.

Nasza Mizia przyglądała się ze swego ukrycia na skrzyniach całej tej scenie z wielkiem zajęciem i z bijącym ze strachu i niepokoju sercem. Gdy odszedł czarny, patrzyła z zachwytem na zwycięskiego żółtego. Ten zaś, czy przypadkiem, czy z wiedzą o jej ukryciu, podsunął się ku skrzyniom i spojrzawszy ukradkiem na piękną kotkę, która przed chwilą była świadkiem takiej strasznej, bohaterskiej walki. Mizia nie przelekła się wcale — przeciwnie,

spojrzała przyjaźnie na zwycięskiego przybysza i wkrótce oba koty były ze sobą w zupełnej przyjaźni, — tak jakby miały razem prowadzić dalsze życie.

V.

Minął sierpień i nastały już krótkie dni wrześniowe, gdy w starej rodzinnej skrzyni dało się słyszeć wielkie poruszenie, połączone z rozmaitemi dźwiękami. Co tam być mogło? Och, gdyby teraz przyszedł złoty przyjaciel Mizi, byłby równie dumny jak i ona, bo oto pięcioro małych kociąt tuliło się do niej, a ona, zwinęta w kłębek, ogrzewała je własnym ciałem, pomrukując ze szczęścia i dumy — to znów lizała małe ciała swych dzieci i pieściła je z czułością i uczuciem dotąd zupełnie jej nieznanem.

Od tej chwili napełniło się jej życie radością, ale zarazem i troską — bo przecież chcąc wyżywić swem mlekiem aż pięcioro istotek, trzeba było samej mieć dość pożywienia, a wiemy jak jej to nieraz ciężko przychodziło. Ale uczucie macierzyńskie dodawało jej siły i coraz nowych pomysłów, tak że szczęśliwie dokarmiła swą gromadkę do siódmego tygodnia. Wtedy zaczęły małe łazić i skakać po skrzyni, ale wymagały jeszcze więcej jedzenia.

Biedna a zarazem szczęśliwa kotka robiła wszelkie wysiłki w zdobyciu jadalnych kąsków, bo jej,

jak zwykle w życiu bywa — szczęście przybywało kroplami, a kłopoty i trudy całą falą...

Bywały znowu dni głodu — a przytem straszne spotkania z psami i kamieniami, którymi częstował ją Jap Male. Pewnego dnia jednak spotkało ją wielkie szczęście: rankiem, szperając po schodach, napotkała odkryty dzbanek z mlekiem, którem uraczyła się za wszystkie czasy; potem udało jej się odbić kawałek mięsa jednemu ze stałych stołowników kulawego Piotra, a zaraz potem znalazła głowę ryby. Wracła więc zadowolona i syta do dzieci, gdy wtem na swem podwórzu ujrzała jakieś dziwne zwierzątko. Wnet obudziła się w niej żyłka myśliwska, przypomniała sobie, jak niegdyś łapała myszy i cichutko podeszła z tyłu. Myślała zapewne, że to jest taka wielka mysz z długimi uszami i krótkim ogonem. Ostrożnie, cichutko znalazła się tuż za zwierzątkiem, które naturalnie, nie przeczuwając nic złego, siedziało sobie spokojnie i swemi wielkimi oczami spoglądało na świat. Nie próbowało nawet uciekać. Mizia wielce zdziwiona skoczyła nagle i złapała królika za kark. Była jednak tak syta, że nie próbowała nawet ugryźć nowej zdobyczy, lecz poniosła ją wprost do skrzyni i rzuciła dzieciom.



Kociątka nie zwróciły na zwierzątko wcale uwagi, lecz ujrzawszy matkę, rzuciły się ku niej i przypięły mocno pyszczkami do jej weszbranych piersi.

Króliczek, niewiele namyślając się, położył się także przy niej i prosił o swą część. Kotka patrzyła na to

zdumiona. Złapała przecież to zwierzątko dla pożarcia, ale syty jej żołądek uratował je od śmierci; teraz na widok tulącego się do niej malca ogarnęło ją uczucie macierzyńskie. Losy królika były zapewnione — wychowywał się razem z kotkami, traktowany przez ich mateczkę zupełnie narówni.

Upłynęły znowu dwa tygodnie — kociątka porośły i nabrały siły, tak że wyłaziły same ze skrzyni i wałęsały się pomiędzy śmietniskami. Królik zaś nie mógł się wydostać ze swego przypadkowego mieszkania i pozostawał w niem ciągle.

Pewnego ranka, gdy matka Mizia poszła szukać pożywienia, kociątka powędrowały, jak zwykle, na podwórze i założyły pod sklep ptasznika. Zobaczył je Jap Male i kazał murzynowi swemu wszystkie wystrzelać.

Po chwili już nie było ani jednego kociątka. Wtem murzyn spostrzegł starą kotkę, niosącą coś w pyszczku i kierującą się ku skrzyni. Już, już miał i ją zastrzelić, gdy zastanowił się:

— Kotka, łapiąca szczury, zasługiwała na to, aby jej życie darować.

Wprawdzie był to pierwszy szczur, jakiego złapała Mizia, ale ten szczęśliwie uratował jej życie.

Murzyn śledził ruchy kotki, która właśnie przybiegła do skrzyni — tutaj wrzuciła szczura i miękkim głosem zaczęła nawoływać swe małe. Zdziwiła się bardzo, że na jej wołanie nie przyszły i że królik nie chciał nawet patrzeć na szczura. Położyła się więc, a przybrane jej dziecko wzięło się do ssania; matka jednak ciągle spoglądała z niepokojem wokoło i nadstawiała uszu, nawołując wciąż



swe małe skarby. Tymczasem murzyn podszedł cichutko ku skrzyni i spojrzawszy w nią, zdumiał na niespodziewany widok: kotka leżała wyciągnięta, przy niej ssący królik, a obok żywy szczur.

Mizia nadstawiła uszu.

Murzyn znikł, a po chwili wrócił z deską w rękę, położył ją na skrzyni i zaniósł całą, ze wszystkim co tam było, żywym i martwym do składu ptaków.

Jap Male patrzył na to zdziwiony, a jeszcze się bardziej zdziwił, gdy zobaczył swego zaginionego królika.

— To ta kotka ukradła nam króla — rzekł murzyn — i zaniósła go swym dzieciom do zabawy!

Mizię z królikiem przeniesiono ostrożnie do wielkiej klatki i postawiono w sklepie, gdzie pokazywano szczęśliwą rodzinę wszystkim zwiedzającym. Po kilku dniach jednak królatko zachorowało i umarło, a Mizię pozostawiono nadal w klatce.

Nasza Mizia, wychowana na swobodzie, nie czuła się dobrze w żelaznej zakratowanej klatce. Miała wprawdzie dużo jedzenia i wygody, ale brakowało jej powietrza i ruchu, do którego była przyzwyczajona od pierwszych dni życia. Może być, że myślała chwilami: „swoboda albo śmierć“, ale swoją drogą jadła z apetytem wszystko, co jej dawano i przez kilka dni tak się lizała i myła, że cała jej

piękność wyszła najaw i Jap Male postanowił zatrzymać ją u siebie na zawsze.

VI.

Drugie życie Mizi.

Jap Male, jak już wiemy, był handlarzem karnarków i innych ptaków śpiewających. Naturalnie nie on jeden w New-Jorku zajmował się tem, dlatego też niezawsze mu się powodziło i często bywał w kłopotach. Wierny jego służący, murzyn Sam, nie opuszczał go nigdy, bo pan jego dzielił się z nim wszystkim, co miał. Chcąc się utrzymać, musiał jednak szukać jeszcze innego zarobku, przede wszystkim więc kupował gazetę, w której była duża rubryka „zgubiono i znaleziono“ i czytał ją bardzo uważnie. Potem zajmował się odszukiwaniem zaginionych przedmiotów, a że często mu się to udawało, dostawał nagrody i miał z tego jaki taki zarobek.

Pan Sama bywał bardzo pomysłowy i teraz, zatrzymując u siebie Mizie, miał już wymyślony plan co z nią zrobi, przeczytał bowiem w gazecie artykuł p. t. „H o d o w l a z w i e r z ą t d o m o w y c h“ i jednocześnie dowiedział się, że w New-Jorku za miesiąc będzie urządzona wystawa „kotów i innych zwierząt domowych“ i natychmiast przyszła mu pewna szczególna myśl do głowy.

W artykule o hodowli zwierząt przeczytał, że w celu otrzymania pięknej skóry i gładkiego futra

należy zwierzę karmić tłustymi potrawami i trzymać w zimnie.

— A żeby to tak wyhodować uwieczoną kotkę— pomyślał i zabrał się do roboty.

Przedewszystkiem posmarował Mizię jakąś maścią, która wygubiła wszystkie pasorzyty, jakie gościły w jej gęstem futerku, a potem wymył ją mydłem i ciepłą wodą, pomimo że opierała się wszelkimi siłami, pazurami, zębami i przeraźliwym miauczeniem. Położono ją następnie przy ciepłym piecu i tutaj wkrótce uspokoiła swą złość i rozpacz, zaczęła oblizywać się starannie i cała lśniąca zasnęła spokojnie. Odtąd nastąpiły dziwne dni dla biednej Mizi: wystawiono ją w klatce na podwórze, osłoniwszy od wiatru i deszczu, i karmiono ciągle głowami rybiemi i plackami na oliwie.

Już po tygodniu niktby nie poznał tej biednej Mizi śmieciarki. Pulchniutka, syta, z miną zadowoloną, siedziała w swej klatce, a futerko jej miękkie jak jedwab błyszczało w słońcu wspaniale. Czarne kropki na popielatym tle nadawały jej wygląd niezwykajny.

Jap Male był niezmiernie zadowolony ze swego doświadczenia i zaczął marzyć o sławie.

— Słuchaj, Sam—rzekł pewnego dnia zimowego do swego murzyna — nasza kotka nadaje się zupełnie na wystawę.

— Tak, panie, wystawmy ją—potwierdził murzyn.

— Musimy ją tylko nazwać wspaniale, żeby zwróciła uwagę publiczności. Myślę, że dobrzeby było nazwać „Jego królewska mość Bil“.

— Kiedy to kotka — zauważył murzyn.

— Prawda — rzekł Jap. — A powiedz mi, Sam, jak się nazywa miejscowość, w której się urodziłeś?

— Wyspa Analostan — odrzekł murzyn z dumą — tam ujrzałem światło dzienne.

— Pysźnie, nazwiemy ją „Jej królewska mość Analostan“. Należałoby tylko wypisać, jak nazywali się jej rodzice i skąd pochodzi, ale to się zaraz zrobi.

I Jap Male pracował parę dni nad wypisaniem całego rodowodu królowej Analostan — podczas gdy Mizia wciąż zajadała główki rybie i lizała swe śliczne futerko, o niczem poza tem nie wiedząc.

Murzyn musiał się umyć starannie, ogolić i ostrzyc, a potem, ubrawszy się wspaniale, wdział pożyczony cylinder na głowę, zabrał klatkę z Mizią i pojechał z nią na plac wystawy. Tutaj przedstawił swój skarb — z dumą i powagą — i pozostał na wystawie.

W dniu otwarcia Jap wybrał się jako wystawca z kartą wolnego wstępu. Przedewszystkiem uderzyła go ogromna ilość powozów i karet, stojących przed wystawą — wychodzili z niej panie i panowie postrojeni świątecznie. Jap wyglądał przy nich jak żebrak — nie stracił jednak humoru, i pomimo że odźwierny spojrział na niego wzrokiem nieufnym, szedł prosto przed siebie. Znalazł się wreszcie w wielkiej sali, pełnej klatek z kotami. Z bijącym sercem przyglądał się różnym kotom, ozdobionym czerwonymi lub niebieskimi odznakami i nie śmiał pytać nikogo o królowę Analostan, obawiając się straszego zawodu.

A nuż poznano tę kotkę śmieciarę, a nuż odtrącili ją sędziowie, nuż jej niema wcale na wystawie!

Szedł jednak dalej, minął wiele sal, ale swej kotki nigdzie nie widział. Mimo to przyglądał się z zajęciem wspaniałym okazom zwierząt i czytał nazwy ich właścicieli, bo przecież dobrze jest czasem wiedzieć i o tem. O swej kotce przestał narazie myśleć. Wszedł wreszcie w sam środek wystawy, gdzie znajdowały się najdroższe i najwspanialsze okazy.

Tłumy ludzi kierowały się w tę stronę. U wejścia stało dwóch policjantów i pilnowało porządku. Przyszła kolej i na Japa. Zanim mógł się przecisnąć wśród zgromadzonej eleganckiej publiczności, dochodziły jego uszu wykrzykniki.

— Ach, cóż za piękność! Co za szlachetność! — zachwycaly się jakieś panie.

— Ciekawa rzecz, gdzie się to stworzenie wychowywało? — zauważył wysoki jegomość.

— Jakżebym była szczęśliwa, gdyby to było moje! — wykrzyknęła dama w wielkim kapeluszu z piór.

— Co za spojrzenie, iście królewskie, co za wspaniałe futro — słyhać było dalej.

— Ależ jej rodowód sięga aż do Faraona — ho, ho, ho — to doprawdy okaz!

— Przepraszam szanownych państwa — rzekł nagle dyrektor wystawy — proszę odsunąć się troszeczkę, bo właśnie fotograf z pisma sportowego będzie uwieczniał „perłę“ naszej wystawy — przepraszam — proszę odstąpić!

— Panie dyrektorze — odezwała się dama w wielkim kapeluszu — czyż doprawdy to piękne stworzenie nie jest do sprzedania?

— Nie wiem, proszę pani — odrzekł. — Słyszałem, że jest to bardzo bogaty pan i niełatwo do niego przystąpić — popróbuję jednak, łaskawa pani, popróbuję. Rządca jego domu powiedział mi, że ledwie dał się namówić na wystawienie swego skarbu. Proszę z drogi — kończył, zwróciwszy się groźnie ku Japowi, starającemu się przedostać do klatki „perły“ wystawy.

Jap był już tak blisko, że mógł przeczytać ogłoszenie wywieszone obok klatki — samego zwierzęcia jednak nie dojrzał jeszcze, bo zasłaniał je dyrektor i aparat fotograficzny.

Czytał więc z zapartym oddechem, co było napisane na papierze, ozdobionym niebieską wstęgą: „Niebieska wstęga i złoty medal wielkiego amerykańskiego towarzystwa wystawców kotów i innych podwórzowych zwierząt przyznane zostały Jej królewskiej mości Analostan, kotce czystej rasy, wystawionej przez pana J. Male, znanego hodowcę zwierząt“ (Nie do sprzedania).

Jap nie wierzył swym oczom. Przed nim stała złota klatka, pilnowana przez czterech policjantów, a w niej na aksamitnej poduszce leżała Mizia śmieciarka w swym pięknym futerku szarem w czarne kropki — leżała spokojnie, a mieniące swe oczy przymrużała do snu, jakby ją znudziła i zmęczyła cisnąca się publiczność, jakby obojętna była na wszystkie pochwały i zachwyty — Jej królewska mość Analostan.

VII.

Jap Male stanął jak wryty, oszołomiony wspinałym widokiem i pochwałami, które sypały się wciąż na cześć jego wychowanki.

To, co widział i słyszał, przechodziło najśmielsze jego pragnienia. Dowiedział się nawet, że cała wystawa zawdzięcza powodzenie jego kotce! Pomimo jednak takiego szczęścia, uważał za najwłaściwsze nie ujawniać, że on to jest właścicielem takiego skarbu — wszelkie więc interesy wolał załatwiać przez swego murzyna, uważanego za rządcę jego domu.

Murzyn przynosił mu coraz to lepsze wiadomości, a przede wszystkim oznajmił, że jedna dostojna pani prosi ciągle dyrektora, aby zniewolił pana Male do sprzedania tej pięknej królowej Analostan. Jap zażądał więc za nią 100 dolarów i natychmiast je otrzymał.

Oto dlaczego po zamknięciu wystawy Mizia znalazła się w pięknej willi na jednej ze wspinałych ulic New-Jorku, zwanej „Piąta aleja“.

Jakże odmienne miała tu życie! Pieszczono ją, karmiono, otaczano ogromną troskliwością. Z początku przyjmowała to wszystko niechętnie i okazywała się bardzo dziką, tak że trudno było nieraz do niej przystąpić. To jej dziwne zachowanie tłumaczono sobie w taki sposób: nie lubi pieszczot, bo jest do nich nieprzyzwyczajona; ucieka, gdy ujrzy psa — pewnie dlatego, że nie chce zadawać się z byle kim; spogląda na kanarka w klatce, bo



...leżała na aksamitnej poduszce Jej królewska mość Analostan.

w ojczyźnie swej zapewne podobne ptaszki widywała. Nie chciała leżeć na jedwabnej poduszce i ciągle skakała do okien — bo pewnie poduszka ta była dla niej niewygodna, a w swym wschodnim pałacu, gdzie się wychowywała, okien takich nie było; że nieraz zawałała dywan, — musiała myśleć, że jest dla niej przygotowany.

Patrzano na nią z podziwem, jak zręcznie podnosiła pokrywkę na wiaderku z mlekiem, a najbardziej dziwnem wydało się wszystkim, gdy Jej królewska mość Analostan zakradała się cichaczem do kuchni i tu piła pomyje z kubła, jakgdyby była bardzo spragniona. Nowe jej panie uważały to wszystko za dziwactwa królowej i przebaczały jej, a zarazem coraz więcej pieściły i dogadzały.

Pomimo to wszystko Mizia nie była szczęśliwa; opanowała ją widać tęsknota za swym krajem! Coraz częściej skakała do okien i drapała po szybach, patrząc z utęsknieniem na ulicę, ciągnęła ją tam wolność i swoboda. Zrywała niebieską wstążeczkę z szyi, chowała się na widok ludzi i psów, bo tak jedni jak drudzy byli dla niej dotychczas wrogo usposobieni. Codziennie smutniejsza siedziała więc



przy oknie i spoglądała na dachy i podwórze — przepelniona jednym jedynym uczuciem — dostać się w świat szeroki.

Była jednak bardzo strzeżona i nie łatwo było jej się wydostać, nawet do naczyń z pomyjami

nie mogła dotrzeć. Ale pewnego ranka marcowego, gdy panie jeszcze spały, Jej królewska mość Analo stan zobaczyła przez okno wystawione na ulicy kubły z pomyjami. Widok ten był tak ponętny, że Mizia nie mogła usiedzieć spokojnie i póty biegła po pokojach i szukała, aż wreszcie przez uchylone drzwi dostała się na schody, a stamtąd popędziła na ulicę.

Co się tam działo po zniknięciu królowej Analo stan — nic Mizię nie obchodziło. Jedyłą jej myślą było wydostać się na wolność i trafić na swe podwórko. Biegła, ile tchu starczyło ciągle, przed siebie, trzymając się ścian i płótów. Chwilami, gdy czuła się zupełnie bezpieczną, przystawała i znowu biegła.

Nagle zawiął wiatr i przyniósł zapach, po którym człowiek poznałby bliskość morza, dla Mizi zaś było to jakby pozdrowienie z ojczyzny. Biegła więc w kierunku, skąd wiał wiatr, ciągle ku wschodowi, aż znalazła się na wybrzeżu. Tu jednak wydawało się Mizi wszystko obcem — stanęła więc i nie wiedziała, w którą stronę iść. Coś ją pchało na południe; pobiegła w tamtą stronę i po dwóch godzinach znalazła się na znajomej ulicy. Prawie kulejąc, dowlokła się do szpary w bramie, przez którą dostała się



na podwórze, gdzie spędziła swe pierwsze życie — obejrzała się tu wokoło i skoczyła do tej samej starej skrzyni, gdzie na świat przyszła.

Odпочawszy i wylizawszy się, Mizia, wyjrzała wkońcu na świat; okrutnie głodna udała się na znajome podwórko, by znaleźć coś do jedzenia — aż zaszła na schody, prowadzące do sklepu z ptakami.

Wtem otworzyły się drzwi i ukazał się w nich murzyn Sam.

— Panie Jap! — zawołał — proszę zobaczyć, przecież to nasza królowa Analostan przyszła!

I zanim kotka zdążyła wskoczyć na mur, wyszedł Jap, i zdumiony, ujrzał swój skarb.

— Kici, kici, Mizia, kici! — zaczął wołać pieśczośliwym głosem, na jaki tylko stać go było.

Za nim wołał tak samo murzyn. Ale nic to nie pomogło. Mizia znikła i tyle jej widziano.

Jap zawdzięczał Mizi dużo — za te sto dolarów, które za nią wziął, kupił kilka nowych ptaszków i zwierząt, i zyskał trochę publiczności. Starał się więc teraz różnemi sposobami kotkę napowrót pojąć. Niełatwo jednak mu to przyszło, bo Mizia była sprytna i po ostatnich przejściach nabrała jeszcze więcej rozumu. Jednakże głód zrobił swoje. Mizia znowu powróciła w stronę piwnicy Japa. Tutaj ciągnął ją zapach smacznych ryb. — Zapach dolatywał z jakiejś nowej skrzynki, stojącej przy schodach. Mizia zajrzała do niej podejrzliwie — rzeczywiście leżała tam wielka głowa ryby. Hyc — i Mizia miała ją w pyszczku. Wtem murzyn ukryty pociągnął za niewidzialny sznurek i królowa Analostan została złapana.

Tymczasem Jap przeszukał w gazecie rubryki „Zgubiono, znaleziono“ i przeczytał:

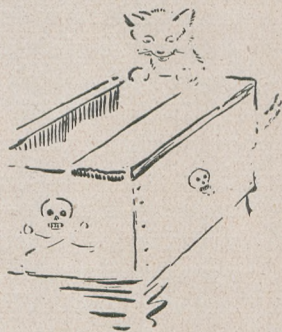
— 25 dolarów nagrody temu, kto odniesie kotkę i t. d.

Japowi nie wypadło iść samemu, choć go nęciła nagroda — ale murzyn mógł tam pójść. Wziął więc królowę Analostan i poszedł na „Piątą aleję“. Tutaj przedstawił się jaśnie pani jako rządca pana Japa — załączył piękne ukłony i rzekł:

— Pan Jap Małe odsyła kotkę, która przyszła do mieszkania swego dawnego pana.

Radości i podziękowań nie było granic, wreszcie i sowyta nagroda dostała się murzynowi.

Mizia wróciła więc znowu do wykwinutego życia, które było jej tak niemiłe — i znowu pieszczono ją i karmiono, ale i otoczono jeszcze większą opieką, jeszcze większą niewolą.



VIII.

Wiosna nadeszła i z nią zaczęły się polowania kocie na wróble i inne ptaszki, oraz głośne koncerty nocne na dachach. Królowa Analostan, dość spokojna przez całą zimę, zaczęła znowu objawiać swą tęsknotę do podwórka i swobody, ale ani razu nie mogła wymknąć się z domu.

Nadeszły ciepłe dni — i dostojni państwo postanowili wyjechać do swej wsi.

— Naszej grymaśnej kotce będzie tam z pewnością lepiej — rozmawiały panie między sobą — tu brak jej świeżego powietrza!

Pewnego dnia zajechała wielka karetka, wsiadła do niej cała rodzina z „Piątej alei“, a na przednim siedzeniu postawiono koszyk, w którym siedziała zamknięta królowa Analostan. Tylko łebek jej wystawał przez umyślnie zrobione okienko.

Karetka zajechała na dworzec kolei żelaznej — tutaj przesiedli się wszyscy do wagonu i nasza Mizia pojechała w świat daleki. Okrutnie było jej nieprzyjemnie siedzieć w tym dziwnym pokoju, który ciągle jechał i tak nią w koszu wstrząsał.

Zkolei wsiedli wszyscy na statek parowy, który pomknął po szerokim morzu. Tutaj było Mizi dużo przyjemniej — a nawet chwilami dochodziły ją zapachy ojczyste — zwłaszcza na wybrzeżu. Po parogodzinnej jeździe wysiedli znowu na brzeg i stąd przybyli powozem do jakiejś pięknej willi, otoczonej ogrodami. Wreszcie wyjęto królowę Analostan z podróznego kosza, nakarmiono sówicie i puszczone na wolność w jednym z wielkich pokojów.

Z nakazu dostojnej pani wszyscy domowi byli ogromnie uprzejmi dla jej królewskiej mości, ale ona okazywała największą przyjaźń jednej jedynej osobie, która jej przypominała rodzinne podwórko — t. j. kucharce. Najmilszy jej kącik był przy komini, a najsmaczniejsze jedzenie było to, które sobie znalazła w kubie z pomyjami. Panie patrzyły zdumione na to dziwne przyzwyczajenie królewskiej kotki, ale przebaczały jej i pozwalały na tę przyjaźń, pod tym warunkiem jednak, że kuchar-

ka będzie pilnować ją jak oka w głowie.

Kucharka obiecała państwu, że zrobi coś takiego, co utrzyma kotkę na zawsze przy domu.

— Już ja to dobrze urządzę — uspokajała panią.

Mówiąc to, wzięła Mizię do fartucha i wysmarowała jej łapki przetopionym tłuszczem mięsnym. Naturalnie nie przyszło jej to tak łatwo, bo królowa opierała się temu gwałtownie, ale gdy znalazła się na podłodze, zaczęła oblizywać łapki z wielkim smakiem, i od tamtej pory nie opuszczała kuchni i kucharki.

Była to jedyna przyjemność Mizii, bo wszystko poza tem wydawało się jej obce i niemiłe. Nawet podwórze, na które wolno było jej wychodzić, pachniało zupełnie inaczej niż tamto w mieście. I mleko, którego miała tu w obfitości, nie smakowało jej tak jak to, które z trudem i ukradkiem zdobywała sobie niegdyś na schodach domów.

Ogród także wydawał jej się obcym i tylko jeden mały kącik, gdzie rosły dzikie róże, był jej ulubionym, tak że kryła się tam i obcierała o niego jakby łączyły się z nim jakieś miłe wspomnienia. Choć miała wszelkiego jedzenia wbród, chodziła jednak często na śmietnisko, ale nie udało jej się znaleźć ani jednej główki rybiej. Cóż więc warte były takie śmietniska i pomyje!



Åż pewnego dnia przybiła do brzegu jakaś łódź rybacka — Mizie doleciał miły zapach: udała się więc w tę stronę, ale spostrzegł to ktoś z domu i wnet sprowadzono ją napowrót i odtąd dobrze strzeżono. Tegoż dnia odjechała także kucharka, jedyna prawdziwa przyjaciółka Mizi.

Raz synek pani, wielki łobuz, przywiązał do ogona królowej blaszaną puszkę — kotka wyrwała się z rąk małego Amerykanina i starała się uwolnić, wydając wcale nieprzyjazne pomruki i nim się chłopiec zorjentował, królowa Analostan, obrażona aż do królewskiej krwi, rzuciła się z wyciągniętymi pazurami na swego prześladowcę. Nadbiegła matka i ujrawszy straszną scenę, bez namysłu rzuciła książkę na kotkę...

Chłopiec został wyratowany, a Mizia tymczasem skorzystała z otwartych drzwi i popędziła na schody — naturalnie w górę.

Jeśli goni się szczura, to ten leci zawsze ze schodów na dół, pies biegnie po równinie przed siebie, a kot zawsze w górę. Mizia pobiegła jak mogła naj-



wyżej, wprost na strych i tu skryła się w najciemniejszy kącik, gdzie niktby jej znaleźć nie potrafił. Tu czekała nocy. Gdy już zupełnie w domu ucichło, wy-

lazła powolutku i póty szukała, aż znalazła szparę we drzwiach, którą wyszła na świat w ciemną noc sierpniową.

Człowiek nie nie widziałby w taką noc, ale dla kotki było jeszcze dość światła. Dopadła więc do ogrodu, przeskoczyła piękne klomby, obtarła się o swój ulubiony krzak róży i wypadła na drogę, którą tu na wiosnę przyjechała.

W jaki sposób trafiła na drogę, której nigdy nie widziała, jest dla człowieka niepojęte. Kierowała się może pewnym zmysłem, jaki posiadają zwierzęta przebywające na swobodzie, a może węchem, który jest u nich bardzo rozwinięty.

Ten ukryty pomocnik Mizi prowadził ją teraz na zachód — droga była równa — i w godzinę przebyła dwa kilometry. Po drodze poznawała zapachy, które dochodziły jej nosa w czasie podróży powozem. Nie potrafiłaby zapewne określić, co to był za zapach, ale poznawała w nim coś znajomego i tem się kierowała.

Zmysł kierowniczy mówił jej: „leć tędy“, a węch potwierdzał „tak, dobrze — pamiętasz, żeśmy tędy przejeżdżali na wiosnę?“

Natrafiała na rzekę i tu spotkała się z linią kolejową. Na zachód nie mogła już biec, bo musiałyby wpaść do rzeki — mogła więc wybrać dwie drogi: na północ lub południe. Zmysł kierowniczy powiedział jej znowu — „zwróć się na południe“ — i Mizia popędziła wzdłuż rzeki między linią kolejową a płotem, ogradzającym jakiś ogród.

IX.

Trzecie życie Mizi.

Koty umieją bardzo szybko uciekać i w okamgnieniu potrafią skoczyć na drzewo lub wysoki mur, ale jeśli mają przed sobą długą i uciążliwą drogę, biegną truchtem jak psy. Mizia nie mogła więc w godzinę przebiec więcej niż dwa kilometry, a przytem czuła się już tak zmęczoną, że chwilami nie była zdolna kroku zrobić, postanowiła więc spocząć. Tymczasem za płotem ukazał się pies...

Biedna Mizia musiała znowu uciekać, już resztkami sił gonila, a tu z drugiej strony płotu leciał pies i ujadał. O, gdybyż ona wiedziała, że ten pies z za płotu nic jej zrobić nie mógł — przysiadłaby choć chwilę... Ale strach dodawał jej sił. Już, już zdawało jej się, że szczekanie milknie, a tu naraz znowu stało się głośniejsze — istne grzmoty i pioruny. Mizia struchlała. Wtem ujrzała wielkie dziwne światło — nie, to nie mógł być pies, to jakiś inny potwór z wielkimi czerwonymi oczami, gonił świszcząc, pluąc i wyjąc.

Mizia byłaby najchętniej przeskoczyła płot, ale tam z drugiej strony był drugi jej nieprzyjaciel — pies. Biegła więc szybciej, niż kiedykolwiek w życiu — ale napróżno — potwór doganiał ją i wreszcie ku wielkiemu jej zdziwieniu, minął ją z szybkością błyskawicy.

Mizia zdumiona przystanęła. To, co widziała, wydawało jej się całkiem obce dla oczu — ale jednak zapachem przypominało coś znajomego — wi-

docznie droga ta naprawdę prowadziła do ojczyzny. Mizia spojrzała przyjaźnie na szyny, po których biegł potwór i już się go nie bała. Odpoczęła wygodnie w krzakach pod płotem, tak jakby wiedziała, że ten olbrzym jej nie dosięgnie. Przesiedziała do wieczora. Głód dokuczał jej strasznie, bo w czasie całej tej drogi znalazła tylko jedną myszkę. Obejrzała się po okolicy i doszedł jej uszu zapach stajni; natrafiła na nią prędko i kręcąc się wokoło niej, znalazła sporo jadalnych kęsków. Całe podwórze przypominało jej ojczyste kąty, ale za nicby tu nie została, bo z ukrycia swego widziała tam dwa psy i kilku małych chłopców — a jednych i drugich bała się więcej od głodu. Puściła się więc znowu na swą drogę między płotem a szynami. Pociąg za pociągiem przebiegał koło niej, ale to dodawało jej nie strachu, lecz nadziei ujrzenia wkrótce miasta.

Tak płynęły jej dni za dniami bez wielkich i nowych wrażeń: psy, dzieci, grzmiący pociąg, głód, czasem mysz lub ptaszek, jakieś śmieciśko — oto wrażenia Mizi w czasie całej podróży. Naprzód, na południe — gnało ją coś ciągle, i, o ile zboczyła z drogi, wracała jakimś instynktem wiedziona na powrót, i dalej biegła.

Tydzień minął — a królowa Analostan była wciąż w drodze, — od czasu do czasu dolatywał ją jakby ojczysty zapach i pobudzał do dalszej podróży, dodawał otuchy i podtrzymywał siły. Tak, to był na pewno zapach, który pamiętała z wiosennej podróży z państwem z „Piątej alei“.

X.

Zbiedzona, znużona, zgłodniała, dotarła wreszcie do mostu, prowadzącego do Nowego Jorku. Choć na moście tym były bardzo miłe zapachy, jednakże nie podobał się on Mizi, było tam dla niej wszystko obce: kamienie, ludzie, nawet psy, i wszystkich bała się tak, że chowała się po kątach, a tylko wieczorem wychodziła na poszukiwanie pożywienia. Kilka razy oddalała się od mostu i znowu powracała, nie wiedząc dobrze, w którą stronę się zwrócić.

Gdy tak raz spacerowała po moście, ujrzała zdaleka nadchodzący czerwonooki potwór. Siedziała właśnie na bocznej belce i patrzyła na swego znajomego z zadowoleniem. Nic go się nie bała, bo przecież wiedziała, że ten głupi olbrzym nie znajdzie jej i że pojedzie sobie dalej. Tymczasem z drugiej strony nadjechał podobny drugi olbrzym i pędził znowu na most, świszcząc i plując. Mizia przerażona biegła ku brzegowi po wolnych szynach, i byłaby może dotarła, gdyby nie ujrzała znowu trzeciej lokomotywy zbliżającej się do mostu. Położenie było bez wyjścia — pozostawał jej jedyny ratunek — rzeka. Nie namyślając się więc długo, królowa Analostan skoczyła na poręcz mostu, a z niej do wody — do głębokiej mokrej rzeki. Woda nie była zimna, ale taka straszna! Mizia wpadła w nią cała z głową! a toż kaszlała i pluła, gdy wypłynęła na wierzch! Pływać się nigdy nie uczyła, ale szło to jej dość łatwo, przebierała bo-

wiem nogami tak, jakgdyby chodziła po ziemi. Główną jej troską było teraz, na który brzeg wypłynąć? Tęsknota do ojczyzny odezwała się znowu z wielką siłą — i tem uczuciem kierowana zwróciła się do brzegu południowego.

Wylazszy z wody, otrząsnęła się i z trudem wreszcie przebrnęła przez bagnisty brzeg, potem przez stopy węgla—mokra, brudna, czarna i zupełnie niepodobna do Jej królewskiej mości Analostan z „Piątej alei“.

Gdy pierwszy strach minął, Mizia poczuła się po tej przymusowej kąpieli zupełnie wypoczętą, jakby odmłodzoną. Zrobiło się jej po chwili bardzo ciepło, a przytem ogarnęło ją miłe uczucie zwycięstwa, jakie odniosła nad trzema olbrzymami!

Znowu nie wiedziała, w którą stronę się obrócić. Nos i wspomnienia wskazywały linię kolejową, ale tam groziły ciągle okrutne jednookie potwory. Postanowiła więc pozostać przy brzegu i dążyć dalej drogą przyrzeczną. Szczęśliwie uniknęła w ten sposób tunelu, przez który przechodziła linja kolejowa.

Trzy dni błąkała się w nieznaney jej okolicy. Raz nawet dostała się przypadkiem na jakiś statek, który z Nowego Jorku przejeżdżał na wyspę, ale czem prędzej wróciła stamtąd innym statkiem. Wkońcu po długich trudach znalazła się w miejscu, gdzie spędziła noc przy pierwszej swojej ucieczce. Stąd już droga była jej dobrze znana.



Szybko pomknęła naprzód, podniecona nadzieją zobaczenia swej ojczyzny i swej rodzinnej skrzyni, gdzie będzie mogła wyciągnąć się i odpocząć. Po paru godzinach była już na pewno przy znanych jej podwórzach.

Ale cóżto się stało? Tam gdzie stały domy, gdzie powinien się znajdować sklep z ptakami Japa Malego, były same gruzy, belki poprzewracane i pełno dziur w ziemi. Czyżby Mizia pomyliła się? Ależ nie, wszak poznawała ona doskonale zapach kamieni, na których spędziła kawał swego życia — poznawała zapach piwnicy z ptakami. Przecież nie mogła omylić ją tęsknota do kraju i zaufanie do rodzinnej ziemi! Przywiązanie do miejsca, gdzie się wychowała, brało górę ponad wszystkim.

Biedna Mizia! tyle poświęciła, tyle przecierpiała, żeby odnaleźć swą drogą ojczyznę, a tu zastała same gruzy! Serduszko jej zaczęło bić niespokojnie i żałośnie. Chodziła bezradnie po rozsypanych kamieniach, ale nigdzie znaleźć nie mogła ani pociechy, ani pożywienia. Na całej ulicy aż do brzegu morza nic, tylko gruzy, belki i kamienie! Mizia nie rozumiała, z czego to pochodziło. Nie był to przecież ogień — bo nie pachniało nim, a Mizia znała dobrze zapach spalonego drzewa. Nie warto jednak było nad tem rozmyślać, bo przecież trudno było małej kotce domyślić się, że właśnie w tem miejscu ma być zbudowany nowy most i dlatego zburzono wszystkie domy.

Na drugi dzień Mizia znowu wzięła się do poszukiwań: zajrzała na sąsiednie podwórze, i tu na szczęście natrafiła na jakiś stary śmietnik, ale

obok niego uwijało się tyle kotów, że trzeba by dopiero walką zdobyć coś dla siebie.

Zapewne los tych kotów podobny był do losu Mizii, t. j. wraz ze zburzeniem domów stały się i one zupełnie bezdomne. Głód panował tu wszędzie. Gdy z sąsiednich domów pojawiło się jakie wiadro z pomijami, przyczepiało się doń odrazu kilka kotów.

Mizia widziała, że tu dłużej niema co robić, pobiegła więc przedewszystkiem na „Piątą aleję“, do domu, gdzie jako królowa Analostan tak była szanowana. Ale tutaj zastała dom pusty, bo przecież jej państwo byli na wsi. Przy bramie stał jakiś pan w niebieskiej liberji ze złotymi guzikami i przywitał Jej królewską mość Analostan wcale nieprzyjaźnie. Wróciła więc na swe stare śmiecie i walczyła z innymi towarzyszami o chleb codzienny. W ten sposób przeżyła dwa miesiące. Młoda była i pełna zapachu do życia, to też wyszła zawsze zwycięsko.

Przez cały ten czas mnóstwo ludzi kręciło się po murowisku; stawiali fundamenty pod most i jakiś wysoki dom. Mizia przyglądała się temu zaciekawiona. Wreszcie stanął nowy dom i pewnego ranka Mizia ujrzała z radością jakieś nowe wiadro wystawione na ulicę. Przysunęła się doń ucieszona, ale, niestety, w wiadrze nie było pomij, tylko popiół. Jednakże nie odchodziła od wiadra, lecz obwąchiwała go ze wszystkich stron. Szczególniej długo zatrzymywała się przy rączce wiadra — zapach jej wydawał się Mizii znajomym.

Wtem przyszedł po wiadro jakiś murzyn w niebieskim stróżowskim fartuchu. Uderzył ją miły zapach, taki sam, jaki był na rączce wiadra. Nie

przyglądając się jednak długo murzynowi, skoczyła wbok, podczas gdy ten stanął zdumiony i zawołał:

— Kici, kici, kici! — a toż to przecież jest Jej królewska mość Analostan — chodź, chodź kici, chodź moja biedna Miziu, skądże ty przychodzisz, tyś pewnie bardzo głodna?

Pytać Mizie, czy głodna? wszak wiemy jak to biedactwo karmiło się od paru miesięcy.

Słuchała, ale nie śmiała ruszyć się — pewnie i ona poznała murzyna, który ją parę razy uratował od śmierci, bała się jednak zbliżyć.

Sam poszedł, ale po chwili wrócił, niosąc w ręku część swego śniadania.

— Tu, tu, Miziu, chodź, chodź, ja cię nakarmię.

Nic to jednak nie pomogło. Mizia patrzyła ciągle nieufnie, ale już nie uciekała. Murzyn położył kawałek mięsa na kamieniu i odsunął się ku drzwiom. Kotka skoczyła, złapała mięso i pobiegła z nim za róg domu, by go spożyć.

XI.

Czwarte życie Mizi.

Od tego dnia zaczęły się szczęśliwsze dni dla Mizi. Gdy tylko dokuczył jej głód, podchodziła do drzwi nowego domu i za każdym razem dostawała jaki dobry kasek od murzyna. Zawsze zajadała swe śniadanie z wielką ostrożnością, codzień jednak nabrała do czarnego człowieka więcej zaufania. Dziwnem się jej to wydało, bo był to pierwszy czło-

wiek, który naprawdę ją zrozumiał, był to jedyny jej przyjaciel.

Przez cały tydzień doznawała takiego szczęścia! Przez siedem dni z rzędu miała smaczne i obfite jedzenie, a wkońcu znalazła jeszcze martwego szczura. Drugi raz w życiu spotkało ją coś podobnego; porwała szczura i, niosąc go w pyszczku, szukała miejsca, gdzieby go schować na późniejsze danie, teraz bowiem była już dobrze syta. Gdy z tą drogą zdobyczą zabierała się do ucieczki, ujrzała dawnego swego wroga, wielkiego psa portowego, zawróciła więc czem prędzej ku drzwiom, za którymi stał jej jedyny przyjaciel — murzyn. Nie bała się już i udała się pod jego opiekę. Właśnie w tej chwili murzyn otworzył drzwi i ukazał się w nich pan jego. Obydwaj przyglądali się Mizi niosącej szczura.

— Jakież to oryginalny kot! — odezwał się pan.

— To jest moja kotka, proszę pana, ciągle mi znosi szczury; powiadam panu, to jest postrach dla szczurów, ciągle za niemi się ubiega i dlatego jest taka chuda.

— Doprawdy! — odrzekł pan — trzeba ją przecież lepiej odżywiać! Sam, pamiętajże o niej.

— Dobrze, proszę pana, a możeby tak umówić się z handlarzem wątroby — to wynosi tylko ćwierć dolara na tydzień.

— Niech i tak będzie — już ja zapłacę — rzekł pan i wrócił do domu.

XII.

— „Wątroba, śledziona“ — odzywa się głos znany wszystkim kotom — i znowu obstały gromady kotów wózek kulawego Piotra.

Były tam białe, czarne i żółte, i szare i bure, a pan Piotr musi dobrze obliczać i pamiętać o ich panach i paniach! Otoczony miauczącym towarzystwem wózek stanął przed nowym domem.

— Z drogi, hołota! — woła Piotr i kijem rozpełdza natrętnie zwierzęta, wołając czule na jakieś wybrane: „Miziu, Miziu, kici, kici“ — i zjawia się szara kotka w czarne cętki z białymi plamkami na uszach, nosku i ogonie, ogląda się trwożnie i zbliża się do wózka. Piotr rzuca jej największy kawałek wątroby, ona zmyka i chowa się w bezpieczny kąciek poza murem wielkiego budynku. Powtarza to się codzień o jednej porze.

Mizia jest uszczęśliwiona. Nietylko że jej nie brak pożywienia, ale żyje zupełnie na swobodzie, może zaglądać na śmietnik, do wiader z pomyjami, może nawet łapać wróble, co udaje jej się coraz lepiej, tak że nietylko jednego ale dwa odrazu złapać potrafi, jeśli się z sobą tak pocubią, że nie dojrzą zbliżającej się ich nieprzyjaciółki.

Nie można jednak twierdzić, żeby Mizia złapała jeszcze kiedy szczura; gdy czasem czarny murzyn znajdzie gdzie nieżywego szczura, podkłada go Mizii, albo zostawia w sieni pod drzwiami pana gospodarza. Wtedy spotykają Mizie wielkie pochwały, a murzyn Sam cieszy się, że pan jego nie poznał

się na tem, najwięcej jednak korzysta z tego Jej królewska mość Analostan.

— Powiadam panu, że w niej płynie królewska krew, toż to postrach dla szczurów!

XIII.

Miesiące mijały za miesiącami, lata za latami — Mizia żyła spokojnie i szczęśliwie. Przez ten czas miała kilka razy dzieci, małe, milutkie koteczki — ale najczęściej ginęły one nieszczęśliwie, tak jak jej pierworodne.

Mizia była ciągle tak piękna, że zwracała uwagę przechodniów i niejeden miał na nią ochotę.

Murzyn Sam, pomimo że ją bardzo lubił, dał się jednak namówić i sprzedał ją, ale po paru dniach wróciła, tak że postanowił już jej z domu nigdy nie oddawać.

Mizia odpłacała mu się wzajemnością i przywiązała się do niego bardzo. Z kulawym Piotrem pozostała wciąż również w najlepszej przyjaźni, a głos jego znała tak dobrze, że słysząc go zdaleka, zlatywała w okamgnieniu z najwyższego piętra na ulicę, a gdy raz zdarzyło się, że wtedy była zamknięta w pokoju, to potrafiła sama łapką nacisnąć zatrzask i otworzyć sobie drzwi, i jeszcze w porę zdążyła zbiec do wózka wątrobianego.

Mizia żyje jeszcze i jest wciąż tak wesoła, że niktby nie poznał w niej tej ponurej smutnej królowej Analostan, mieszkanki „Piątej alei“. Dalsze

swe życie przepędza na rodzinnej ulicy i zawsze nie bywa dla niej nic piękniejszego, jak wałęsać się o zmierzchu po ulicach, podwórkach i dachach. Pomimo więc swego królewskiego wyglądu nie chce nigdy, tak jak nie chciała dotychczas, być czem innym jak tylko małą, brudną lecz wolną i swobodną kotką śmieciarką.



12280/31

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021772953

30. GRUD 1931

12280

ZAJMUJĄCE CZYTANKI PRZYRODNICZE

Wznowienie cennych
opowiadań i powiastek
przyrodniczych najlep-
szych autorów polskich
i obcych. Każdy tomik
z rysunkami, na dobrym
papierze.

Thompson E. S. CZERWONOKRYZEK.

JOCH, DZIEJE MAŁEGO NIEDŹ-
WIEDZIA

WULLY, PIES OWCZARSKI.

ŚPIEWAK ULICZNY.

KOTKA ŚMIECIARKA.

MATKA CYRANKA.

WILK Z WINNIPEG.

CHŁOPIEC I RYŚ

CZYNK, WIERNY PIESEK.

STRZĘPOUCH.

MATKA LISZKA.

SREBRNOPLAMIK.